

## „Warszawa” (20)

Już na początku siódmej klasy pani Dyrektor poinformowała nas, że pod koniec października trzy nasze klasy: szósta, siódma i ósma pojadą na trzy dni do Warszawy. Żeby nie było wstydu i wyśmiewania, że do stolicy Polski przyjechały wieśniaki spod Krakowa, rozpoczęliśmy intensywne zajęcia z dobrego wychowania. Uczono nas, jak należy zachowywać się przy stole, jakich sztuczków, do czego używać, jak się wysławiać, itd., itp. W połowie września odbyło się zebranie z rodzicami uczniów tych trzech klas. Na zebraniu tym była moja mama.

W ogólnym zarysie wyjazdu do Warszawy dyrektorka naszej szkoły poinformowała rodziców o różnego rodzaju atrakcjach, jak zwiedzanie Pałacu Kultury i Nauki, Łazienek królewskich, czy Wilanowa. Mieliśmy też bawić się w wesołym miasteczku i złożyć bukiet kwiatów pod grobem nieznanego żołnierza. Nocować mieliśmy w ośrodku wypoczynkowym pod Warszawą.

Zaproponowała, żeby rodzice powoli przygotowywali plecaki z wyposażeniem i zaprowiantowaniem dla swoich dzieci. Mówiła też, że warto by było dać dzieciom jakieś kieszonkowe, aby mogły kupić sobie coś do picia, czy jakieś pamiątki ze stolicy. Koszt nie był zbyt wygórowany. Większość rodziców od razu wyraziła zgody na wyjazd dziecka do Warszawy. Moja mama – nie. Po powrocie do domu konsultowała to z ojcem i wspólnie uznali, że to zbędny wydatek i że ja na tę wycieczkę nie pojadę. Pieniądze można wydać na pilniejsze rzeczy, a ja, kiedy dorosnę, to będę mógł jeździć do Warszawy nawet co rok. Za własne pieniądze.

Chodziłem do szkoły, brałem udział w tych zajęciach przygotowujących, chociaż doskonale wiedziałem, że nie pojadę. Może to i dobrze. Nigdy nigdzie nie jeździłem i nie miałem nawet plecaka. Słuchałem, jak koledzy opowiadali, gdzie byli na wakacjach, co widzieli, jak się bawili i zazdrościłem im. Nawet mój kolega Ryszard mieszkający niedaleko ode mnie jeździł na kolonie, obozy, chodził na basen do Krakowa. Ja przez wakacje jeździłem za Kraków, do Grębnic, Smardzowic, Januszowic, Bibic na obieranie truska-  
wek, agrestu, albo czereśni. Część pieniędzy oddawałem rodzicom, a za to co mi pozostało, czasami kupowałem zeszyty, tornister, czy artykuły piśmiennicze. Czasami na takim zarobku byłem trzy tygodnie podczas wakacji. Resztę przesiedziałem w domu.

Pogodziłem się z tym. Teraz też nie cieszyło mnie nic, co dotyczyło wyjazdu. Po co miałem się uczyć, skoro i tak nie pojadę. Z czasem zajęcia te zaczęły mnie nudzić i przestałem na nie chodzić. Wszyscy inni chodzili. Jeżeli któraś z nauczycielek na siłę wciągała mnie do klasy, to szedłem, ale zamiast się uczyć, to przeszkadzałem w zajęciach. Poskarżyły się dyrektorce. W rozmowie z panią Dyrektor oświadczyłem, że skoro nie jadę do Warszawy, to te zajęcia mnie nie dotyczą. Dyrektorka wezwała rodziców do szkoły i zakomunikowała im, że oprócz mnie wszystkie inne dzieci pojadą i że druga taka szansa szybko się nie pojawi. Na próżno. Mój ojciec powiedział, że nie ma pieniędzy i jego syn na tę wycieczkę nie pojedzie.

Dyrektorka zdziwiła się, ale w tym dniu nie mogła chyba nic zrobić.

W połowie października było kolejne zebranie, na którym obecna była moja mama. Na tym zebraniu pani Dyrektor zapytała wprost pozostałych rodziców, czy zgodziliby się złożyć po parę złotych dodatkowo, abym i ja mógł do Warszawy pojechać. Nie było entuzjazmu. Kilka osób wyraziło zgodę, ale to by było o wiele za mało.

W domu mama opowiedziała o wszystkim ojcu, a on się bardzo zdenerwował. „Nie będą, ze mnie robić dziada” - krzyczał. „Nikt się nie będzie na nas składał”. Następnego dnia kazał mi szukać plecaka u moich starszych kolegów i szykować się do wyjazdu. Zapewne, gdyby wiedział, że w Warszawie też coś zmałuje, to by się nie zgodził.

Pojechaliśmy. W pierwszy i drugi dzień wszystko przebiegało bez zarzutów. Zwiedzaliśmy, bawiliśmy się, stołowaliśmy się w jednej z warszawskich restauracji i byliśmy bardzo grzeczni. Nawet wieczorami, kiedy wracaliśmy na nocleg. Trzeciego dnia z rana pojechaliśmy do Łazienek królewskich, następnie na Plac Zwycięstwa i pod Grób Nieznanego Żołnierza. Wcześniej mieliśmy czas na zakupienie jakichś pamiątek z Warszawy. Kupiłem jakiś breloczek z syrenką i paczkę korków strzelających. Już wcześniej nauczyłem się wyluskiwać siarkę z tekturowej osłony korka. Siarka rzucona pod nogi przechodniów wybuchała, dymiła się i wprawiała ludzi w zakłopotanie, a czasami wywoływała panikę w jakimś zatłoczonym miejscu. Ludzie krzyczeli, uciekali. Fajna zabawa.

Tym razem wraz z kolegami postanowiliśmy wyluskać siarkę z korków strzelających i sprawdzić reakcję żołnierzy trzymających wartę przy Grobie Nieznanego Żołnierza w Warszawie. Podczas składania kwiatów przez grono pedagogiczne naszej szkoły wprowadziliśmy nasz plan w życie. Stanęliśmy blisko i rzuciliśmy siarki pod nogi żołnierzy. Spojrzeli w naszym kierunku, ale większej reakcji nie było. Kiepsko – pomyśleliśmy i wprowadziliśmy plan „B”. Wyciągnęliśmy z paczki pozostałe trzy korki strzelające, położyliśmy je na płycie placu za plecami warty i poprzez nadeptanie odpaliliśmy. Huk był głośny. Tym razem wartownicy aż podskoczyli ze strachu. Ha, ha, ha. Udało się. Byliśmy zadowoleni z efektu naszej zabawy.

Dyrektorka i nauczyciele naszej szkoły – nie. Nie zrozumieli dowcipu. Po powrocie do szkoły nagrodzili nas za nasze zachowanie. Obniżyli oceny z zachowania i powiadomili rodziców. Świadectwa z paskiem też już nie mogłem otrzymać.

Głupi żart, a przekreślił moje dalsze plany.

## **„Trzy razy pod wodą” (21)**

Skończył się rok szkolny. Moje wpadki z Warszawy i ze śnieżną kulą na głowie dyrektorki sprawiły, że nie otrzymałem świadectwa z paskiem. Trzeba się było zrelaksować. W naszej okolicy były trzy ogólnodostępne kąpieliska: w Kryspinowie zalew, w Ściejowicach basen i zalew i dzikie kąpielisko na starym korycie Wisły w Jeziorzanach. Lato było ciepłe. Słońce przez dzień nagrzewało wodę i wieczorem była rewelacyjna do pływania. Wraz z kolegami Kazimierzem i Ryszardem chodziliśmy na te kąpieliska.

## **Pierwszy raz pod wodą.**

W Jeziorzanach było kilka stawów powstałych po przesunięciu koryta rzeki Wisły. Niektóre mniejsze, zarzybione, inne głębokie i muliste porośnięte nenufarami. Największe z nich stało się kąpieliskiem. Przychodzili tam miejscowi, żeby wieczorem popływać i przyjezdni szukający bezpłatnego dostępu do wody. My również często tam bywaliśmy. Zwykle kąpaliśmy się w tym samym miejscu, gdzie było sporo osób. Woda sięgała półtora metra. Dla wygłupów podkurczaliśmy nogi i udawaliśmy tonącego. Niektórzy się nabierali i niezwłocznie spieszyli nam z pomocą. Wyciągali nas na brzeg, próbowali ratować. Widząc jednak uśmiech na twarzy topielca, szybko rezygnowali. Z czasem ten żart miał już taką brodę, że nikt się nie nabierał i nasze wygłupy nie robiły na innych żadnego wrażenia. Któregoś pięknego dnia poszliśmy, jak zwykle na kąpielisko. Była to sobota. Od rana na brzegach rozłożyli się przyjezdni plażowicze. Było sporo młodzieży. W tym miejscu, gdzie my zwykle bawiliśmy się, jacyś młodzi ludzie odbijali piłkę plażową. Poszliśmy troszkę dalej. Dno wydawało się być równe, a woda niezbyt głęboka. Zaczęliśmy brodzić, w pewnej chwili poczułem zimną wodę, a dno uciekło mi spod nóg. Zacząłem tonąć. Próbo- wałem się ratować. Wynurzałem się na chwilkę i znowu zanurzałem. Jak sęp, w górę i w dół. Nikt nie reagował. Za każdym razem wynurzając się nad wodę, widziałem moich kolegów w zasięgu ręki. Chciałem krzyknąć, ale woda zalewała mi usta. Czułem, że słabnę. Cały czas poruszałem się w pionie, bez szans na dojsię do brzegu. Nie mogłem też płynąć. Chyba za siódmym razem dotykając dna, poczułem pod stopą kamień i odbiłem się od niego z całych sił. W dobrą stronę. Wynurzyłem się i czując pod stopami dno, skierowałem w kierunku brzegu. Moje nogi trzęsły się ze zmęczenia, a szyję łapał skurcz. Kole- dzy patrzyli na mnie z niedowierzaniem. Wykrzyczałem swój żal w ich kierunku – „Ja bym się utopił, a wy nawet ręki nie chcieliście mi podać. W dupie mam takich kolegów”. Po tych słowach usiadłem na pia- sku i obserwowałem, co oni robią. Chwycili się za ręce i skierowali w miejsce, gdzie ja udawałem sęp. Po chwili pierwszy z nich zniknął pod wodą. Pozostali go wyciągnęli. Okazało się, że zaledwie trzy metry od płaskiego równego dna zbiornika znajduje się głęboka dziura z lodowatą wodą powodującą kurcz mięśni. Nie daleko od niej były kolejne. Przestaliśmy się tam kąpać. Dotarło do nas również, że ta- kie wygłupy w udawanie tonącego mogą obrócić się przeciwko nam. Z czasem wszystko powszednieje i nikt już takiego zachowania nie traktuje poważnie. Można w samotności utonąć, mimo otaczających nas osób.

## **Drugi raz pod wodą.**

Któregoś lipcowego dnia nad głębszym stawem w Jeziorzanach zebrało się kilkanaście osób. Przeważnie chłopaki, ale nie tylko. W tym miejscu woda była głęboka, ale wszyscy doskonale o tym wiedzieliśmy. Ktoś rzucił pomysł, aby wybudować na jednym z brzegów skocznię. Miała ona posłużyć do efektywnych skoków do wody. Przez kolejnych kilka dni budowaliśmy nasz sztandarowy obiekt inżynieryjny. Wybie- raliśmy łopatomy ziemię wokół skoczni, umacnialiśmy deskami jej brzegi, żeby woda ich nie podmywała, a nawet izolowaliśmy workami po saetrze i papą dekarską. W końcu była gotowa. Przez pierwsze dni faktycznie wykonywaliśmy przeróżne fikołki, aby jak najefektowniej wskakiwać do wody. Nasze popisy zaciekały innych plażowiczów. Coraz więcej osób przyłączało się do zabawy. Pogoda była idealna. Wiezorami słońce już nie grzało zbyt mocno, za to woda była ciepła. Można było szaleć. Szybko jednak znudziło nam się wymyślanie kolejnych figur i ewolucji w skokach do wody. Trzeba było wymyślić coś

nowego. Myśleliśmy, myśleliśmy i wymyśliliśmy, stworzymy zawody. Zawody miały polegać na tym, że każdy z uczestników odda po trzy skoki. Nie od razu jeden po drugim, ale po jakimś czasie. Po wysiłku niezbędny był wypoczynek, a wysiłek był nie lada. Nie płynęliśmy nad wodą, ale pod wodą. Wygrywał ten z uczestników zawodów, który wynurzył się najpóźniej i najdalej od brzegu. Przez długi czas prowadziłem, ale po kilkunastu skokach wyprzedził mnie Robert z Jeziorzan. Chłopak w moim wieku. Nie zwykłem przegrywać, więc w kolejnym skoku dałem z siebie wszystko. Mimo bólu płynąłem pod wodą ile sił, jeszcze, jeszcze, jeszcze. W pewnej chwili poczułem lodowatość wody i moje nogi zaczęły drętwieć. Starłem się samymi rękami wydostać nad powierzchnię wody, ale nie mogłem. Zacząłem tonąć. Przystałem walczyć i powoli opadałem na dno zbiornika. Pogodziłem się z myślą, że to już koniec.

Kiedy ponownie otworzyłem oczy, leżałem na piasku a obok mnie stała grupka moich kolegów. Chłopaki zauważyli, że coś jest nie tak i skoczyli za mną. Wyciągnęli mnie z wody i pozwolili odpocząć. Jacek Czerwiński syn nauczyciela WF-u w Szkole Podstawowej w Jeziorzanach i mój konkurent Robert Suchan uratowali mi życie. Bez ich pomocy na pewno bym tam pozostał. Uciekłem śmierci spod kosa. Najwyraźniej to nie był jeszcze mój czas.

### **Trzeci raz pod wodą.**

Pomimo doświadczeń z wodą wcale nie zamierzałem jej unikać. Wręcz przeciwnie. Coś mnie nad wodę ciągnęło. W Kryspinowie była ładna plaża, w lasku gospoda „Szałas” i niezbyt bogaty park kajakowy. Można tam było wypożyczyć rowerek wodny, kajak, a nawet łódkę. Część plaży zaopatrzona była w boje wyznaczające bezpieczną część żwirowni, w tym miejscu zawsze było dużo ludzi. W tych latach teren ten nie był ogrodzony i skomercjalizowany pod prywatną działalność, ale ogólnodostępny. Aby uniknąć tłoku, wybraliśmy z kolegami inną część zbiornika. Nie było tam piaszczystej plaży, ani bojek wyznaczających miejsce bezpieczne. Brzeg był urwisty i zaraz za kępą traw woda sięgała dwóch metrów głębokości. Było za to spokojnie. Nikt nam nie przeszkadzał. Chyba pierwszy raz pływaliśmy w tym miejscu. Było ładne. Mniej więcej na środku, pomiędzy jednym a drugim brzegiem żwirowni była sztuczna wyspa usypana z urobku kopalni. Postanowiliśmy na tę wyspę popłynąć. Nie było daleko, jakieś sto, sto dwadzieścia metrów. Bułka z masłem. Wypłynęliśmy w trójkę: Ryszard, Wiesław i ja. Na początku nic nie wskazywało na żadne problemy. Odległość niewielka, woda ciepła...

W miarę zbliżania się do wyspy woda stawała się coraz chłodniejsza, potem zimna, by przejść w lodowatą. Czuliśmy, że nasze ciała wyziębiają się w szybkim tempie. Nie wiedzieliśmy, czy płynąć dalej do przodu i odpocząć na wyspie, czy zawracać do miejsca skąd wypłynęliśmy. Do wyspy było zaledwie kilka metrów, ale coraz zimniej. Zapewne woda w tym miejscu sięgała sześciu, może ośmiu metrów głębokości. Damy radę dopłynąć, ale co potem. Jesteśmy z dala od ludzi, nikt nas nie widzi i nikt nam nie pospiesz z pomocą. Zawracamy. Nasze ręce i nogi z zimna zaczynają odmawiać nam posłuszeństwa. Jesteśmy zmęczeni. Co jakiś czas któryś próbując odpocząć, łapie się kolegi, podtapiając go jednocześnie. Do brzegu jeszcze osiemdziesiąt metrów. Wiesiek, najstarszy z nas podejmuje decyzję – „płyniemy na plecach”. Tak też zrobiliśmy. Nie mając orientacji, gdzie dopłyniemy, wszyscy zmieniliśmy styl na „grzbietowy” i wolno, ale systematycznie zaczęliśmy się przybliżać do brzegu. Prawie się udało. Zmęczeni dotarliśmy do brzegu. Brzeg jednak w tym miejscu był stromy i zanim znaleźliśmy miejsce umożliwiające wyjście na suchy ląd, jeszcze kilka razy zanurzyliśmy się pod wodą. Ta wycieczka kosztowała nas nie tylko sporo sił, ale i zdrowia. W tydzień później każdy z nas zachorował.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

---

Janusz Rosek, dodano 02.07.2024 21:42

Dokument został wygenerowany przez [www.portal-pisarski.pl](http://www.portal-pisarski.pl).